WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW 1

NR 98 16 SIERPNIA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

PARK CZY REZERWAT – STR. 2

Fot. M. Szymański

WESOŁA ● POMYSŁOWA ● REKLAMOWA ● FESTIWALOWA

ZABAWA ZE „ŚWIATEM MŁODYCH"

W ostatnim dniu lipca zakończył się IV Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej. Uczestniczyło w nim 2700 dzieci i młodzieży z całej Polski. Czterdzieści województw reprezentowały ekipy zamiłowanych w sztuce, uprawiających taniec, śpiew, poezję, muzykę, malarstwo, rzeźbę, artystyczne rękodzieło. Każdy chwalił się tym co umie, uczył się tego co go interesuje, pracował, współzawodniczył, dyskutował, przyjaźnił się, bawił i śmiał w grupie rówieśników. Dwanaście warsztatów, 13 klubów HSPS, koncerty, występy, korowód, kiermasz – dzień niepodobny do dnia, a wszystkie pozostawiły uczestnikom niezapomniane wrażenia.

CIĄG DALSZY NA STR. 3

Trud, który wprawia w podziw

Tymi słowami członek Biura Politycznego KC, I sekretarz KW PZPR w Katowicach, tow. Zdzisław Grudzień, ocenił podczas wizyty, która odbyła się w obozach studenckiego Kręgu Instruktorskiego Śląskiej Akademii Medycznej w Krępie, pracę studentów w instruktorskich mundurach. W wizycie tej brała również udział z-ca Naczelnika ZHP hm PL Blandyna Kuchczyńska.

Studencki Krąg Instruktorski, działający przy Radzie Uczelnianej SZSP Śląskiej Akademii Medycznej, jeden z najlepszych w kraju, prowadzi już od wielu lat różnorodną działalność zdrowotną i społeczno-wychowawczą. W czasie roku szkolnego na stałe opiekuje się kilkoma Domami Dziecka, a podczas wakacji organizuje od kilkunastu lat niespotykane w Europie obozy zdrowotne dla dzieci chorych na cukrzycę. Przed paroma laty do obozu tego dołączyły także obozy dla dzieci cierpiących na astmę i z wadami budowy.

Obok obozów dla dzieci chorych, organizowane są również przez studencki krąg obozy naukowo-badawcze, podczas których studenci medycyny prowadzą różnorodne badania na obozach harcerskich i w miejscowym środowisku. (mt)

Fot. M. Żbikowski

CZTERY NOGI WYGRAŁY Z DWOMA KOŁAMI

BRUKSELA (PAP). Tytuł jest może zaskakujący, ale rzecz idzie o wyścig między człowiekiem na rowerze, a koniem. Taki wyścig odbył się w Amiens (Francja), a zawodnikami byli: kolarski mistrz świata, Belg Freddy Maertens i koń ze stajni znanego aktora Alain Delona. Pierwszy na metę wpadł rumak, wyprzedzając znakomitego kolarza o dwie długości. Wyścig odbył się na dystansie 1000 m, a koń nazywa się „Fakir du Vivier". (ag)

KRYPTONIM „BOSEX 77"

(PAP). Będą to największe z dotychczasowych międzynarodowe badania Bałtyku, w których zgłosiły uczestnictwo wszystkie kraje leżące nad tym morzem. Udział wezmą ekipy z 15 placówek naukowych. Prowadzone będą z pokładów 12 statków badawczych. Akcja oznaczona kryptonimem „BOSEX 77" (Baltic Open Sea Experiment) odbędzie się we wrześniu, działając w ramach Międzynarodowej Rady Badań Morza i Naukowego Komitetu Badań Oceanicznych. (g)

„GUERNICA" POWSTAŁA 40 LAT TEMU

Czy wróci do Hiszpanii?

MADRYT (PAP). Pablo Picasso namalował słynny obraz „Guernica" podczas wojny domowej w Hiszpanii. Artysta uczcił w ten sposób pamięć ofiar ataku hitlerowskich bombowców na miasto Guernica w 1937 r. Słynne dzieło Picassa od lat znajduje się w Nowym Jorku w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Obecnie jest szansa, że „Guernica" znajdzie się w Hiszpanii. Artysta w swoim testamencie przeznaczył obraz młodzieży hiszpańskiej, stawiając jednak warunek, że przewiezienie go do Hiszpanii może nastąpić po ustanowieniu w tym kraju rządów demokratycznych. Obecnie minister kultury Hiszpanii prowadzi w tej sprawie rozmowy z przedstawicielami USA i oświadcza, że szansa powrotu obrazu do Hiszpanii istnieje. (ag)

„ABBA" TO PRAWDZIWY SKARB!

SZTOKHOLM (PAP). Znany zespół „Abba" jest najbardziej opłacalnym przedsiębiorstwem Szwecji. Przyniósł Szwecji w roku 1976 taki zysk, jak żadne z przedsiębiorstw przemysłowych czy handlowych w tym kraju! Czwórka artystów stanowiących ten muzyczny „koncern", obok surowego treningu muzycznego, zajmuje się planowaniem dalszej działalności ekonomicznej. Zarobki artystów – ze względu na podatki – nie są aż tak wysokie, jak można by sądzić, toteż zespół rozwija działalność, która po przeminięciu sławy zapewni jego członkom dobrobyt również w przyszłości.

KRZYSIEK BRAWO!

KRAKÓW (PAP). W krakowskiej dzielnicy Podgórze zaczął się w nocy palić drewniany, piętrowy dom. Do tragedii nie doszło dzięki Krzyśkowi Pyzikowi, który śpiąc w namiocie obok, spostrzegł pożar i obudził wszystkich mieszkańców płonącego budynku.

O tym warto wiedzieć

Z ROCZNIKA STATYSTYCZNEGO ONZ

Ile nas na Ziemi? Gdzie żyją najdłużej? Jak nam się powodzi?

W Nowym Jorku ukazało się kolejne wydanie rocznika statystycznego ONZ. Można się z niego dowiedzieć, że w połowie 1975 roku kulę ziemską zamieszkiwało 3967 mln osób, co oznacza wzrost o 357 mln w okresie ostatnich 5 lat. Ocenia się, że obecnie w 1977 r. ludność Ziemi przekroczyła 4045 mln. W 1975 r. siedem krajów miało ponad 100 mln mieszkańców: Chiny (839 mln), Indie (598), ZSRR (255), USA (214), Indonezja (136), Japonia (111) i Brazylia (107).

Najwyższa przeciętna długość życia nadal utrzymywała się w Szwecji (72 lata dla mężczyzn i 78 lat dla kobiet). Najniższą przeciętną długość życia dla mężczyzn zarejestrowano w Czadzie – (29 lat), a dla kobiet – w Górnej Wolcie (31 lat).

Najwyższy przyrost ludności zanotowano – jeśli chodzi o kontynenty – w Ameryce Południowej i następnie w Afryce i Azji. W Europie przyrost ludności był niższy niż w Ameryce Północnej.

W 1975 roku – jak podaje najnowszy rocznik statystyczny ONZ – produkcja rolnicza świata wzrosła w stosunku do roku 1974 o około 2 proc.

W okresie ostatnich pięciu lat wzrost produkcji w krajach socjalistycznych wyniósł 34 proc. podczas gdy podobny wskaźnik w krajach kapitalistycznych nie przekroczył 17 proc. Warto pamiętać, że (mimo znanych nam trudności gospodarczych) Polska należała w tym okresie do krajów o najszybszym tempie rozwoju. W samym roku 1975 produkcja w rozwiniętych krajach kapitalistycznych zmniejszyła się o 5,9 proc. w stosunku do 1974 roku. Największy spadek produkcji nastąpił w Japonii, Włoszech, USA i Francji. Rocznik statystyczny ONZ odnotowuje jednak, że ani w 1975 ani też w roku 1976 nie zauważono spadku obrotu handlu międzynarodowego.

Bardzo znamienny jest rozwój turystyki międzynarodowej. Kraje socjalistyczne, a wśród nich Polska, znalazły się w światowej czołówce. Pierwsze miejsce zajęła w 1975 r. Hiszpania, a następnie USA (15.6 milionów przyjezdnych), Czechosłowacja (14 mln), Kanada (13,6), Włochy (13,2), Francja, (13), Austria (11,5), Polska (9,3). Za nami idzie Wielka Brytania i Szwajcaria. (ag)

Agencja Prasowa „Nowosti" specjalnie dla „Swiata Młodych"

PARK NARODOWY CZY REZERWAT?

Międzynarodowa organizacja ds. ochrony dzikich zwierząt wydała niedawno uchwałę o budowie specjalnych ferm hodujących... krokodyle. Zwierzęta te, będące rówieśnikami dinozaurów, dzięki wyjątkowej odporności, żywotności i szybkości rozmnażania przetrwały ponad 140 mln lat i dopiero w XX wieku stały się ofiarami mody na teczki i torebki z krokodylej skóry...

W tym samym czasie wyginęło także kilka innych gatunków zwierząt i roślin. Wykorzystując dary przyrody człowiek nie zawsze pamiętał o tym, aby nie wyrządzić jej krzywdy. Nowe miasta zbudowane ze szkła, aluminium i betonu zmuszają ludzi do częstych wyjazdów na „łono natury". Tak jest na całym świecie. Ale czy zawsze pamiętamy o tym, aby odpoczywać, nie niszcząc harmonii przyrody, nie zakłócać ciszy i nie dewastować roślinności? W jaki sposób zachować piękno unikalnych pejzaży, uchronić przed zagładą rzadkie gatunki zwierząt i roślin, stwarzając jednocześnie człowiekowi możliwość kontaktu z naturą?

Jedną z możliwości rozwiązania tego problemu jest tworzenie parków narodowych. W Związku Radzieckim przystąpiono jednakże najpierw do organizowania rezerwatów. Jest ich obecnie 116. Na ich terenach zabroniono prowadzenia wszelkiej działalności gospodarczej – łowiectwa i połowu ryb. Jednocześnie też w odróżnieniu od parków narodowych zabroniono wstępu turystom.

Mapa rezerwatów Związku Radzieckiego

Czy można zamknąć Dolinę Gejzerów?

Specjaliści radzieccy są zdania, że rezerwat nie może być miejscem wypoczynku, powinien natomiast stanowić pewnego rodzaju laboratorium naukowe, którego głównym zadaniem jest ochrona przyrody. Rezerwaty zajmują stosunkowo niewielką część terytorium ZSRR, tak więc turyści nie powinni czuć się zbytnio poszkodowani. Jednakże trudno jest zabronić ludziom wstępu do tak unikalnych w skali światowej miejsc jak słynna Dolina Gejzerów na Kamczatce, czy też rezerwaty Krasnojarskie Słupy. Dlatego postanowiono w drodze wyjątku wpuszczać na obszary ściśle chronione zorganizowane wycieczki turystów...

Oczywiście na terenach przeznaczonych na masową turystykę może dojść do zakłócenia równowagi w przyrodzie. Badania prowadzone przez naukowców ZSRR wykazały niezbicie, że niemożliwe jest, niestety, pogodzenie turystyki z ochroną rezerwatów. Jednocześnie zaś uczeni przyznają konieczność obcowania człowieka (szczególnie dzieci) z przyrodą i konieczność wypoczynku poza miastem. Oprócz rezerwatów rozpoczęto więc w Związku Radzieckim tworzenie parków narodowych.

Zdaniem wiceprezydenta Międzynarodowego Związku ds. Ochrony Przyrody i Zasobów Naturalnych – Andrzeja Bannikowa – najbardziej interesujące doświadczenia w dziedzinie tworzenia parków zebrali pracownicy Parku Narodowego w Litewskiej SRR. Zaproponowali oni, aby w każdym parku znajdowała się strefa przeznaczona do wypoczynku oraz wyznaczenie obszarów, do których turystom wstęp jest surowo wzbroniony. W części przeznaczonej dla zwiedzających stwarzane są warunki umożliwiające odpoczynek, ale nie można tam instalować żadnych urządzeń, których obecność zakłócałaby kontakt z przyrodą.

Laboratorium w plenerze

Tworzenie parków narodowych umożliwi rezerwatom „spokojne" prowadzenie badań naukowych nad ochroną biosfery. W najbliższym czasie pojawią się nowe laboratoria w plenerze, szczególnie w tych miejscach, gdzie do tej pory było ich niewiele – na pustyniach, w tundrze, w górach, na morzach i oceanach.

W opinii doktora nauk geograficznych – Andrzeja Nasimowicza rezerwaty stanowią określoną część biosfery (wraz z zewnętrzną częścią atmosfery), do której nie powinien wtrącać się człowiek nawet w wypadku klęsk żywiołowych. Kiedy w Maryjskiej Republice Autonomicznej spalił się las, oznaczało to likwidację rezerwatu. Była to decyzja błędna. Codzienne obserwacje pogorzeliska dostarczyłyby wielu cennych informacji na temat możliwości regeneracji tego obszaru, stopniowego odradzania się na nim szaty roślinnej, ponownego zasiedlenia przez zwierzynę.

Na rozwiązanie czeka jeszcze wiele innych problemów związanych z organizowaniem rezerwatów i parków narodowych. Naukowcy sądzą, że jednym z pierwszych zadań powinno być zorganizowanie centralnego ośrodka naukowego, który koordynowałby poczynania uczonych pracujących we wszystkich rezerwatach oraz dysponowałby funduszami przeznaczonymi na prace naukowe.

ANATOL ARCHIPIENKO
Zdjęcia: APN

Borsuk

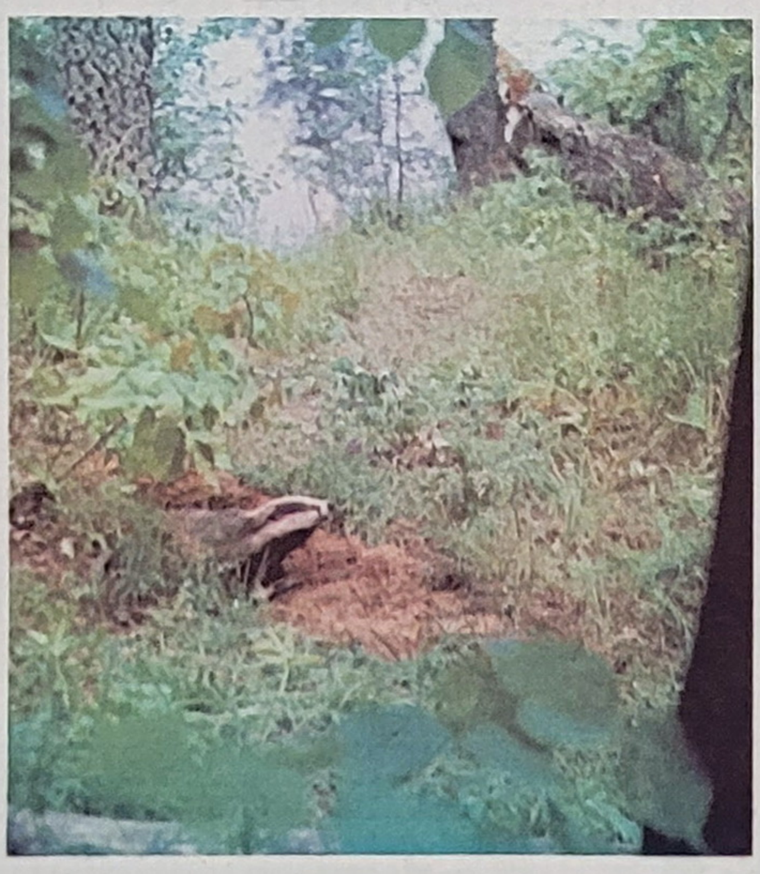

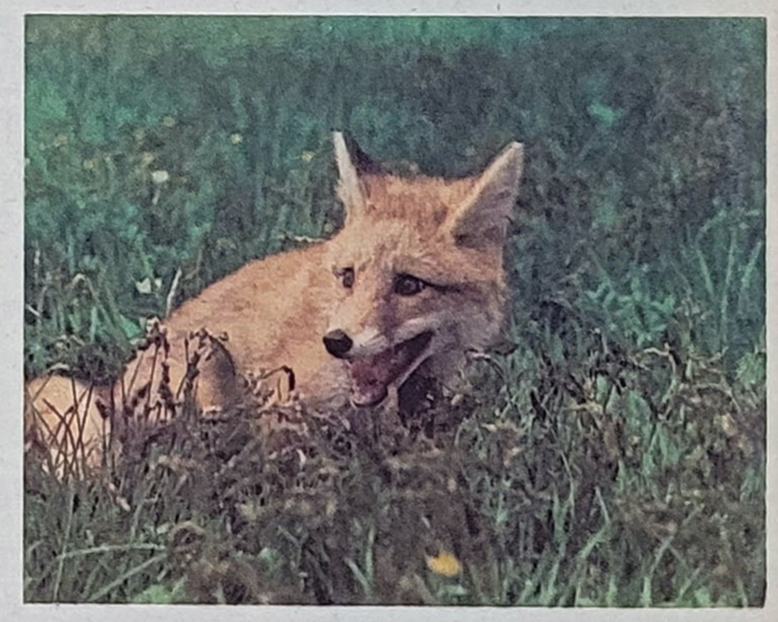

Lisica mieszkająca w rezerwacie sychote-ałyńskim w primorskim kraju

Historia pewnego listu

Przychodzą do redakcji różne listy. Z jednych dowiadujemy się jak atrakcyjnie spędzaliście wakacje, z drugich o Waszych wielkich i małych przygodach, z innych, jak Wam jest źle, smutno itd... itp.

Właśnie niedawno otrzymałam list od Waszej koleżanki, która skarży się w nim na... rodziców. Opisuje scysje, kłótnie domowe. Ba, pisze, że ją biją. Może to by i wytrzymała – twierdzi, ale nie zniesie dłużej kompromitacji. A w tym prześcigają się wzajemnie ojciec i matka. Rodzice kompromitują ją wobec kolegów i koleżanek na różne sposoby. Przyznaje, że czasami zapomina o wyrzuceniu śmieci (a to jest jej obowiązek) i wówczas ojciec, nie zważając na to, kto gości u córki, wkracza do pokoju z kubłem pełnym śmieci i stawia go na środku, oczywiście z odpowiednim komentarzem. Matka ma też różne pomysły. Można powiedzieć, że znacznie „ciekawsze" od ojca. Potrafi wejść do pokoju Agi, kiedy są u niej akurat koleżanki lub koledzy i spytać dlaczego od tygodnia nie wycierane są kurze, albo co robi w kącie pajęczyna itd... itd.

Przejęłam się losem Agi.

Postanowiłam: jadę, o wszystkim przekonam się na miejscu. Adres jest zarówno w liście, jak i na kopercie. Inne jest tylko imię. W liście – Agnieszka, a na kopercie – Marzena. Ale kto by na to zwracał uwagę.

Córki chwilowo nie ma w domu, są natomiast rodzice. Rozmawiamy najpierw ogólnie o wszystkim, potem... skarżą się troszeczkę na Agę. Mówią o drobnych kłopotach wychowawczych, ale to dlatego, że córka chce być już dorosła i sama w wielu sprawach podejmuje decyzje, nie zawsze zresztą trafne. Stąd małe konflikty, które czasami przeradzają się w wojny. Rośnie więc przepaść między nimi a córką. Coraz częściej Aga „ucieka" ze swoimi problemami, szuka innych powierników.

Na razie nic nie wspominam o liście. Czekam na autorkę. Boję się reakcji rodziców na przedstawione przez ich córkę fakty. Rodzi się myśl: może autorka trochę przeholowała? A może to wszytko jest zmyślone?

Jest Aga. Zostają przedstawiona jako znajoma jej rodziców. Rozmowa skupia się wokół problemów młodzieży. Aga jest odważna w wypowiadaniu sądów na tematy metod wychowawczych. Notuję szybko w pamięci jej poglądy, staram się zapamiętać każde zdanie przez nią wypowiedziane. Ocenia postępowanie rodziców względem niej jako rozsądne. Ba, twierdzi, że życzy swoim rówieśnikom takich ojców i matek.

Przechodzę z Agą do jej pokoju i... wyciągam list. Uważnie obserwuję zachowanie się dziewczyny. Jeszcze przez moment nie traci fasonu, ale za chwilę, kiedy zaczynam czytać... fotelik robi się za ciasny, szklanka z herbatą nie trafia na swoje miejsce, twarz purpurowieje.

– Ja, ja... pisałam o tym, ale u mnie w domu tak nie jest, u koleżanek też nic takiego...

Nie wie, co powiedzieć dalej, jak się usprawiedliwić. Siedzi przede mną zgnębiona, jakby skupiły się w niej wszystkie nieszczęścia świata. Pytam więc: gdzie się kryje sens pisania steku kłamstw, krzywdzenia – jak w tym przypadku – rodziców? Po co robić z siebie bohaterkę, opisywać nierealne historie?

Aga milczy. Nie potrafię wydusić z niej słowa. Odjeżdżam więc z uczuciem niesmaku i... niewiedzy.

Nie wiem jaka jest naprawdę Aga, co spowodowało, że wysłała list o takiej treści. Może liczyła na to, że wydrukujemy jej wynurzenia i tym sposobem znajdzie się na szpaltach gazety, że zaimponuje swoją odwagą koleżankom i kolegom? A może powód był zupełnie inny?

GRAŻYNA KIEDYK

● Ten festiwal mamy fest, bo „Świat Młodych" z nami jest!

● By rodaków wzruszać drogich za ocean ślę „Świat Młodych"!

● Od Bałtyku aż do Tatr ze „Światem Młodych" za pan brat!

WESOŁA ● POMYSŁOWA ● REKLAMOWA ● FESTIWALOWA

ZABAWA ZE „ŚWIATEM MŁODYCH"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Koncert inauguracyjny młodzieży kieleckiej „Gospodarze Gościom", koncert z okazji Święta Odrodzenia Polski, Koncert Przyjaźni, ostatni koncert galowy, nastrojowe widowisko „Widma", czyli II cz. „Dziadów" w wykonaniu Centralnego Zespołu Artystycznego ZHP przy Teatrze Wielkim w Warszawie pod kierunkiem hm PL Władysława Skoraczewskiego, a jeszcze rajd pieszy po ziemi kieleckiej i widowisko „Światło i dźwięk" u stóp Międzianej Góry w scenerii ruin staszicowskiej huty, a turniej tenisowy o rakietę Fibaka, zorganizowany przez ekipę poznańską... Na wołowej skórze by nie spisał tego, co się działo od 10 do 30 lipca w Kielcach i okolicy. Głośno było o ekipie poznańskiej, szczecińskiej, kieleckiej, gdańskiej, mówiło się o Zespole Poezji Śpiewanej z VI LO w Bydgoszczy, o zespole „Kaszuby" z Czerska, o Heródkach z Lipnicy Wielkiej. Zresztą, żeby być sprawiedliwym, trzeba by wymienić wiele ekip, wiele zespołów. Festiwalowe „Jodły" honorowe nagrody festiwalu – wywiozły z Kielc ekipy wielu województw.

Wrażeń artystycznych nikomu nie brakowało, a tu jeszcze po raz pierwszy w festiwalowych dziejach – Święto „Świata Młodych". Odbyło się w ostatnim dniu festiwalu, zaszczycił je swoją obecnością członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier, minister kultury i sztuki, Józef Tejchma, który wziął również udział w otwarciu galerii plastyki i w galowym koncercie.

Co działo się w czasie Święta „Świata Młodych" w kieleckim parku, którym owładnęła ekipa z Gorzowa Wlkp., i na placu Obrońców Stalingradu, gdzie rywalizowały pozostałe ekipy...

Tego nie da się opisać, to trzeba zobaczyć na własne oczy. Gospodarze wręczyli naczelnemu redaktorowi „Świata Młodych" prawdziwy smakowity tort. Zjedliśmy go wspólnie z pomysłową dowcipną młodzieżą kielecką, która na estradzie „odstawiała" naszą redakcję, posługując się autentyczną sieczkarnią i wialnią, tańczył i śpiewał zespół „Kask" z LO im. S. Żeromskiego. To właśnie dziewczęta z tego zespołu wylansowały przebój tegorocznego festiwalu: „Jak ci smutno to się przysiądź". Poznaniacy wykonali piękną dekorację, zorganizowali wzorem redakcji turniej warcabów, ekipa białostocka opiekowała się żywą kaczką dziennikarską, druhny z Płocka bawiły dzieci z kieleckiego osiedla, jak proponowaliśmy w Tygodniu Pomarańczowym, ekipa z Ostrołęki z pocztowego wózka zrobiła okręt, na który władowali się przebierańcy śpiewając piosenkę o Świecie Młodych, Gorzów Wlkp. przedstawił niemal wszystkie stałe pozycje gazety organizując odpowiednie błyskawiczne konkursy. Sam kierownik zespołu „Tel" i autor muzyki do piosenki o Świecie Młodych, pan Czesław Ganda, nauczył tejże zebraną dziatwę. Wszystkie ekipy wykazały pomysłowość, humor – jak na czytelników „Świata Młodych" przystało. Gratulujemy pomysłów, artystycznych umiejętności, znajomości pisma, z całego serca dziękujemy za przyjazne uczucia i... reklamę. Do siego festiwalu!

B. TYLICKA

Fot. **Marek Szymański**

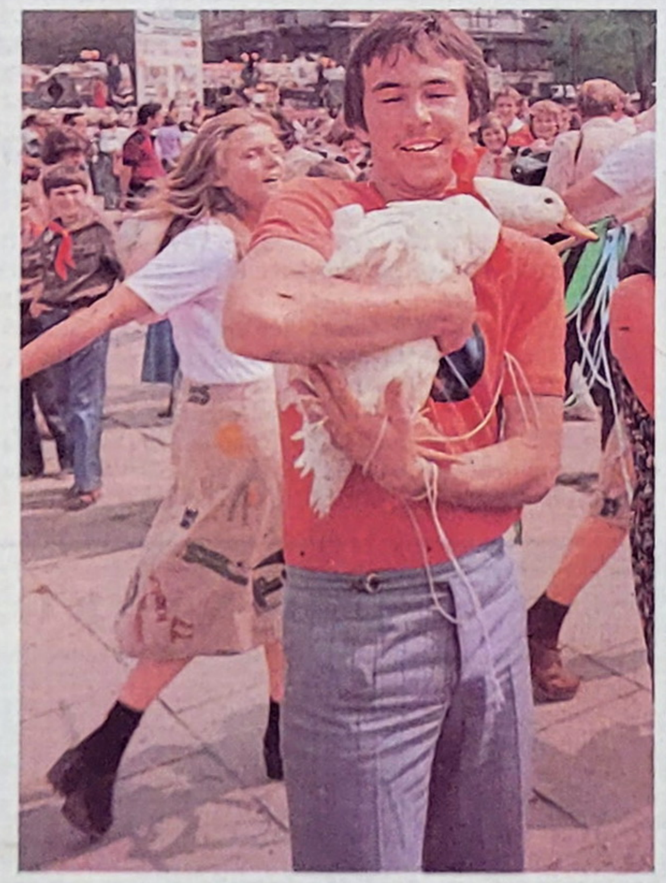

Za chmury wyjrzał księżyc i oświetlił rozległą równinę Ziemi Ognistej. Mężczyzna siedzący z winchesterem na kolanach obserwował z wysokiej skarpy liczne ogniska indiańskie rozpalone na plaży. Około trzystu Indian Ona rozgrzewało się przy nich mocnym alkoholem. Na ognisku piekły się jagnięta i wielka lama guanako. Indianie świętowali właśnie pokój zawarty z białymi ludźmi, którzy podarowali im owce i „wodę ognistą". Świętowali koniec wojny, która kosztowała wiele ofiar. Przed mężczyzną na skarpie wyrósł cień.

– Wszystko gotowe?

– Tak – odpowiedział siedzący. – Ale zostaw ich jeszcze trochę w spokoju. Miło na nich popatrzeć.

– Dość tego, nie widzisz, że wszyscy są kompletnie pijani? Nie uciekną.

– I tak nie uciekną, ale pozwól im pożyć jeszcze chwilę.

– Chętnie poszedłbym już spać. A ty masz chyba za miękkie serce – rzekł brodacz. – Don José powiedział, że żaden z nich nie ma prawa uciec. Jutro nam zapłacą. Funty szterlingi w złocie.

– Wolałbym, żeby to wszystko było już za nami.

– Nie nadajesz się do tej roboty. Jak teraz nawalisz, obetnę ci uszy, jak tym Indianom. Uważaj na mój znak!

Zemsta ostatniego ONA (1)

Culeta była zupełnie pijana i uparcie wtykała do ust najmłodszemu ze swoich synów jeszcze jeden kęs baraniny.

– Jedz – namawiała malca. – Zjedz kawałek „białej lamy", owieczki, którą dali nam źli biali ludzie. Dali nam też dużo wody ognistej, pij! – Wlała małemu do ust nieco alkoholu, a potem zwróciła się do najstarszego: – Pij, Upati, niedługo będziesz mężczyzną. Źli i brodaci ludzie nie zabiją nas, obiecali nam jeszcze więcej owieczek – „białych lam" i mówią, że skończyło się już obcinanie nam uszu.

Oczy chłopca były szeroko otwarte, instynkt ostrzegał go przed niebezpieczeństwem. Wielu Indian leżało już bez czucia przy gasnących ogniskach. Księżyc rzucał srebrzyste światło na obozowisko plemienia Ona, któremu przewodził wielki kacyk Satiol. Kiedyś plemię Ona żyło szczęśliwie na równinach północno-wschodniej części Ziemi Ognistej. Latem przebywali w górach i lasach polując na guanako. Ona, odważni myśliwi, byli jedynymi panami tej ziemi; aż do pojawienia się białego człowieka. Kiedy powstała pierwsza misja Tomasa Bridges'a nad zatoką Usuhaia, przyglądali się ze zdumieniem dziwnym brodatym ludziom w ubraniach. Ciekawość ustąpiła miejsca niechęci, kiedy biali ludzie zaopiekowali się wrogim dla nich plemieniem Jaganów. Pierwszy konflikt z białymi miał miejsce podczas ekspedycji Julio Popera, awanturnika i poszukiwacza złota. Indianie zdali sobie sprawę, że ich łuki są o wiele mniej skuteczną bronią od hałaśliwych strzelb. Zorientowali się także, że biali nie prześladowali ich, kiedy wycofywali się na swoje tereny. Przybysze chcieli po prostu spokojnie szukać złota. Ale w ślad za poszukiwaczami cenego kruszcu przybyli tu pasterze ze swoimi owcami. Tubylcy nie znali własności prywatnej i nie hodowali żadnego bydła. Owce były dla nich „białymi lamami", na które polowali w poszukiwaniu pożywienia i wełnistych skór, okrywających ich lepiej niż skóry guanako. Ich łupem stawały się także konie i muły, przywiezione przez białych. Oni sami nie gniewali się, kiedy biali polowali na tutejsze zwierzęta, toteż trudno im było pojąć przyczynę furii białych, liczących szkody w swoim inwentarzu.

Rozwścieczeni hodowcy wypowiedzieli wojnę Indianom Ona. Wynajęli indiańskich myśliwych, płacąc im funta szterlinga za każdą głowę Indianina Ona. Wysoka cena sprawiła, że w polowaniach na ludzi zaczęli uczestniczyć także i niektórzy awanturnicy i niefortunni poszukiwacze złota. Największym i najbardziej przebiegłym wrogiem Indian był niejaki Mac Kleman, zwany „Czerwoną świnią". Pewnego razu zatruł strychniną wieloryba, którego pozostawił Indianom: po uczcie zmarło ponad trzystu Ona. Teraz wpadł na inny pomysł: uwolnił kilku więźniów, podarował im alkohol i mięso, obiecał więcej takich podarunków i zaproponował trwały pokój, który miał zostać przypieczętowany ucztą na plaży Przylądka Domingo. Właśnie kończyła się wielka uczta Indian na cześć wspaniałomyślnych białych.

MASAKRA

– Jedz, jedz – nalegała Culeta. Wtedy rozległ się pierwszy strzał. Spomiędzy skał posypał się grad kul. Indianie ginęli nie odzyskując przytomności, odurzeni alkoholem. Krzyki przedśmiertne zmieszały się z ostatnimi pieśniami wychwalającymi dobroć białego człowieka. Culeta osłoniła dzieci swoim ciałem. W tej samej chwili przeszyła ją kula. Upati uwolnił się od ciężaru ciała matki i wiedziony zwierzęcym instynktem jednym skokiem ukrył się w pobliskich skałach wśród zarośli. Stamtąd osłupiały patrzył na rozgrywającą się na plaży tragedię. Strzelanina nie ustawała, aż padł ostatni Indianin. Było to wiosenną nocą roku 1919.

Zaległa cisza. Biali odeszli. Upati wyszedł z ukrycia. Jego oczy nie miały już dawnego wyrazu dziecięcej naiwności. Nie płakał. Jego gardło było suche i zaciśnięte. Jeszcze nie pojmował rozmiarów tragedii swojego plemienia. Rozumiał tylko, że został zupełnie sam na świecie, że biali zabrali mu wszystko, czym żył do tej pory. Wiedział, że musi się zemścić.

Na plaży pojawił się lis w poszukiwaniu świeżego mięsa. Upati podniósł pelerynę ze skóry guanako i lisie ogony, które były oznaką władzy ojca – Satiola. Odnalazł jego ciężki łuk. Po raz ostatni spojrzał na miejsce tragedii i zniknął w zaroślach.

RUPATINI

Każdej niedzieli Guillermo Bridges rozdawał ubranie i żywność Indianom, którzy przychodzili doń z prośbą o pomoc. Jako jeden z białych, którzy wyrządzili tyle krzywd Indianom, czuł, że przynajm-

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

niej on sam powinien wynagrodzić im prześladowania ze strony jego braci. Jak co tydzień, przed jego domem w Viamonte zgromadzili się Indianie – kobiety, mężczyźni i dzieci, oczekujący na podarunki. Don Guillermo zobaczył wśród znajomych twarzy swoich stałych gości dwoje nieznajomych: kobietę z dzieckiem, brudnym i nagim chłopcem.

– Jak się nazywasz? – zapytał malca.

Chłopiec nie odpowiedział.

– Jak się nazywasz? – powtórzył pytanie don Guillermo.

– Nie ma ubrania, nie ma ubrania – powiedziała kobieta.

– Skąd jesteście?

– Nie ma ubrania... – powtórzyła kobieta. Don Guillermo zrozumiał, że są to jedyne hiszpańskie słowa, którymi posługuje się Indianka i że chłopak po hiszpańsku nie mówi wcale.

– Małego znalazł ktoś umierającego z głodu. – Wyjaśnił jeden z mężczyzn. – Zaopiekowała się nim ta kobieta. Oboje chcą zostać tutaj i pracować u ciebie.

– Nie ma ubrania – powtarzała kobieta.

Don Guillermo wszedł do domu i po chwili pojawił się w drzwiach z koszulą i parą starych spodni.

Zemsta ostatniego ONA

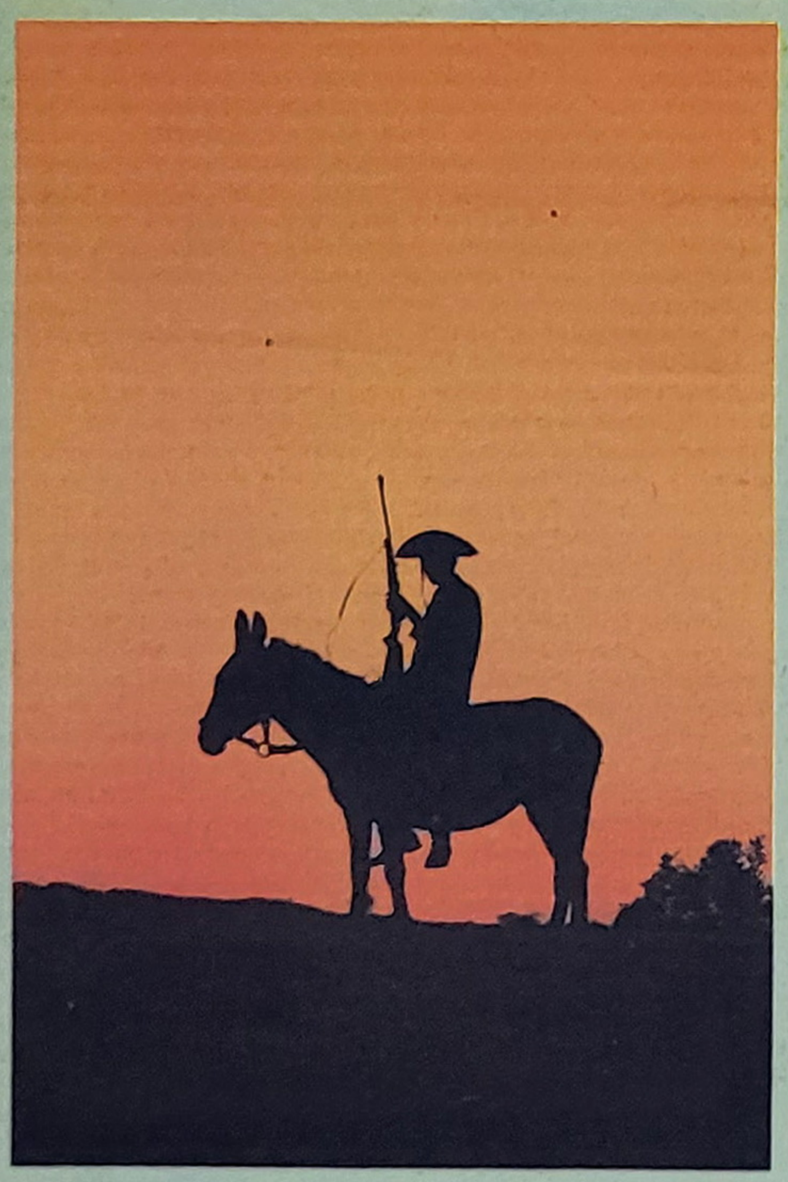

– Masz ubranie – rzekł.

– Rupatini – powiedział chłopiec, powtarzając nieudolnie zdanie don Guillerma, które po hiszpańsku brzmiało „ropa tiene".

– Nazwiemy cię Rupatini. Sam sobie wybrałeś imię – zdecydował don Guillermo. I tak Upati-Rupatini pozostał w domu don Guillerma. Był chłopcem inteligentnym i pracowitym. Szybko nauczył się hiszpańskiego i Bridgesowie postanowili oddać go na naukę do księży salezjanów. Lubił książki, muzykę, uczył się dobrze, jednakże niechętnie przebywał w domu – wolał samotne wyprawy. Bridgesowie chcieli, by został nadzorcą, a przynajmniej księgowym w ich majątku. Ale kiedy chłopiec skończył szkołę, pożegnał się z nimi, podziękował i odszedł. Ktoś powiedział, że widziano go z pewnym adwokatem w okolicach miasta Rio Gallegos, a potem przepadł gdzieś bez wieści.

Pewnego dnia zjawił się u gubernatora.

– Jestem ostatnim z Indian Ona, synem kacyka Satiola. Przynoszę petycję o utworzenie rezerwatu dla Indian, którzy przyszli na świat z matek żyjących w misjach katolickich. Mamy prawo do własnej ziemi.

– Rupatini – odezwał się gubernator. – Jest pan człowiekiem wykształconym, jakże więc może pan domagać się utworzenia rezerwatu?

– Proszę o to, co należy się nam według prawa.

– Jeśli będzie można, damy panu kawałek ziemi, ale tylko dla pana, nie na rezerwat, który uważam za rzecz zupełnie absurdalną.

Po burzliwych dyskusjach Rupatini dostał spory kawałek ziemi i założył gospodarstwo. Były tam łąki, świetnie nadające się do wypasania owiec. Do pracy u niego zgłosiło się wielu Metysów.

CIĄG DALSZY W SOBOTĘ

ANTONIO HALIK

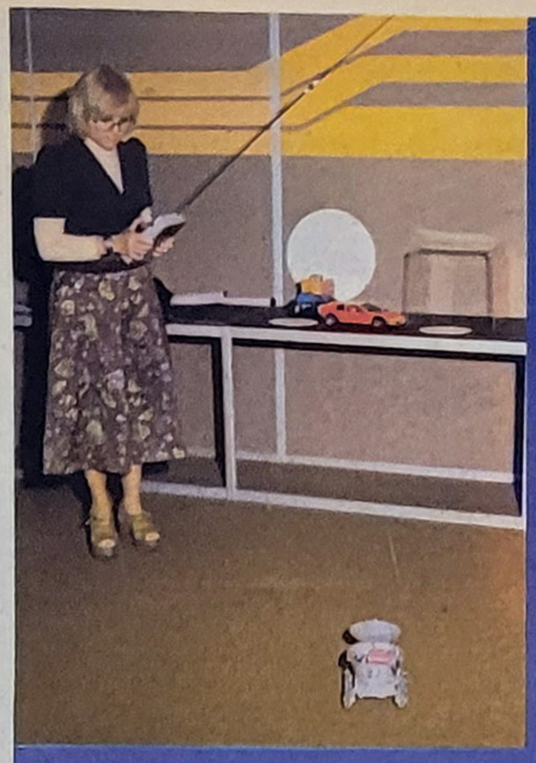

Łunochod zdalnie sterowany jeździ po dywanie

PERSPEKTYWY MAJSTERKOWICZÓW CZYLI KOMPUTER DOMOWYM SPOSOBEM

Zbyszek Żerański demonstruje swoje dzieło

Jak zrobić samemu wideotelefon? To proste. Rzuca się na ścianę slajd przedstawiający naszego rozmówcę i wykręca numer jego telefonu.

Tą anegdotą powitali zwiedzających organizatorzy wystawy **„Elektrotechnika i amatorzy"** otwartej 21 lipca w warszawskim **Muzeum Techniki w Pałacu Kultury**. Wystawione prace obrazują sytuację, w jakiej znalazł się ruch amatorski: z jednej strony trudności, z jakimi borykają się majsterkowicze, z drugiej, ich fantastyczne czasem pomysły.

Łunochod – dzieło Stacji Młodych Techników w Warszawie – zdalnie sterowany jeździ po dywanie. Obok, mały, drewniany domek. Kiedy otwieram drzwiczki, rozlega się przeraźliwy sygnał alarmowy. Podobno wyłącza się automatycznie po 10 minutach. Dla demonstracji wystarczy parę sekund. Hałas nie do wytrzymania, mógłby postawić na nogi pałacową milicję i straż pożarną. Urządzenie p. Zbigniewa Sałamachy z Wrocławia, zwane „Sezamem" zdobyło I nagrodę w konkursie „Horyzontów Techniki".

Oto inne dojrzałe prace: Zbyszek Żerański, uczeń Liceum Elektronicznego, zrobił sam magnetofon tak doskonały, że równego mu nie znajdzie się w naszych sklepach. Wystawił też domową dyskotekę z efektami świetlnymi. Inicjator i organizator imprezy, młody elektronik Roman Kozak, prezentuje własnej roboty radio stereofoniczne – lepsze od fabrycznie wykonanej „Meluzyny". Ale są i urządzenia wyglądające tak niepoważnie, iż zdaje się, że działają wyłącznie na zasadzie entuzjazmu ich twórcy. Np. domofon w... mydelniczkach, również w mydelniczce umieszczony sygnalizator kipienia mleka, zawieszany na garnku. Zamek elektroniczny do drzwi ze skomplikowanym kluczem w przezroczystej fiolce po tabletkach. Widać, że konstruktor tych urządzeń, pan Tadeusz Milczarek z Gdyni, nie może dostać lepszego materiału na obudowę swoich aparatów. A przecież właśnie przy produkcji tworzyw pozostaje mnóstwo odpadów, które przydałyby się rzeszom majsterkowiczów.

Rzeszom? Już nie! Osłabł entuzjazm do majsterkowania. Technika poszła do przodu milowymi krokami. Nie wszyscy za nią nadążyli. Nie ich wina. Coraz trudniej o części, narzędzia. Potencjalnych młodych konstruktorów ogarnia zniechęcenie. Owszem, można kupić w Centralnej Składnicy Harcerskiej doskonałą importowaną wiertarkę, ale skąd wziąć te głupie 4 tys. zł?! Butelkami, nawet po 3 zł, nie uzbiera się tak dłużej kwoty.

Ci z Warszawy i Wrocławia, i tak są w dobrej sytuacji, bo mają „pod ręką" wielkie zakłady elektroniczne. Trochę odpadów trafia do warszawskiego „Bomisu". Także na perskim jarmarku można się zaopatrzyć w atrakcyjne elementy, które ktoś wystał w „Bomisie" i sprzedaje z zyskiem. Trochę to drogo jak na uczniowską kieszeń, ale i tak kosztuje o połowę taniej niż ten sam element, gwarantowanej jakości w sklepie. A drobne wady nie mają znaczenia.

Jakie trudności muszą pokonywać majsterkowicze z Giżycka, Mielca, Kołobrzegu! Gdy jednemu z nich udało się zdobyć austriacką diodę elektroluminescencyjną, wmontował swój skarb do urządzenia, choć wcale nie była w nim potrzebna!

Problem polega na tym, że odpadów wartościowych dla majsterkowiczów mamy naprawdę bardzo dużo. Zakłady nie chcą o nich wspominać, bo to nie najlepiej świadczy o organizacji pracy. Owszem, dyrektorzy wyrażali zrozumienie, gdy pan Roman Kozak zwrócił się o udostępnienie wybrakowanych tranzystorów i innych elementów, które chciał rozdawać zwiedzającym na zasadzie premii. Skończyło się na słowach. Kiedyś już dyrekcje zakładów dogadały się z CSH w tej sprawie. Fabrykom nie opłacało się jednak przewozić bubli elektronicznych, handel nie kwapił się z udostępnieniem własnego transportu. I tak sprawa upadła. Młodzi majsterkowicze mogą tylko marzyć o tanich częściach i narzędziach, i zazdrościć kolegom radzieckim, którzy w każdym sklepie przemysłowym za grosze kupią zestaw potrzebnych elementów.

PROBLEM NIE TYLKO NARZĘDZI

Sama baza techniczna nie wystarczy. Parę lat temu Liga Obrony Kraju wyposażyła szkoły w narzędzia, licząc na rozwój szkolnych modelarni. Komisje sprawdzające efekty akcji zastały zdekompletowane zestawy... Problem to nieprzygotowanie szkoły do politechnizacji. W warszawskich szkołach nie ma ani jednej pracowni zajęć technicznych wyposażonej zgodnie z wymaganiami programu. Zapaleńcy, którzy zgłaszają się do Stacji Młodych Techników, wynoszą zainteresowania z domu. Kadra nauczycielska nie była w ogóle przygotowana do zajęć praktycznych z elektrotechniki w kl. VIII. Brakuje książek dla amatorów majsterkowania. „Młody konstruktor" Janowskiego jest już przestarzały. Dobrze, że Wydawnictwa Harcerskie wznawiają serię: „Zrób to sam" – mówi dr Witold Kozak – ojciec Romana, prowadzący warszawską Stację Młodych Techników.

– Z czasopismami też nie najlepiej. W „Radioamatorze" drukuje się schematy urządzeń produkowanych przez przemysł. Rozważania teoretyczne są na takim poziomie, że tylko zawodowy elektronik może zrozumieć o co chodzi. Majsterkowicz daremnie będzie tam szukał praktycznych wskazówek, ciekawych propozycji – wtrąca z rozgoryczeniem pan Roman.

Literatura techniczna dla uczniów i nauczycieli, odpowiednio przygotowana kadra pedagogiczna – to sprawy bardzo istotne. Ale cały entuzjazm może się rozbić o brak materiałów. Jedna z nauczycielek chciała zrobić z uczniami odbiornik radiowy. Nic z tego! Najbanalniejsze części okazały się nie do zdobycia. Brakuje w handlu odpadów półprzewodnikowych, optycznych, narzędzi, które szybko się niszczą – takich jak wiertła, gwintowniki.

– Zastanawiam się, czy spółdzielczość uczniowska nie byłaby najlepszym partnerem i sprzymierzeńcem majsterkowiczów. CSH nie opłaca się handel groszowym towarem, mogłaby więc przekazywać zestawy odpadów elektronicznych oraz innych wybrakowanych urządzeń sklepikom uczniowskim. Oprócz bułek, ciastek, ołówków można by tam kupować części potrzebne do skonstruowania lunety, przystawki do gry z telewizorem i innych atrakcyjnych urządzeń. W przyszłości, kto wie, najbardziej zaawansowani mogliby się pokusić o zbudowanie domowego komputera – stwierdza dr Kozak.

Jedno jest pewne: powołana przez Muzeum Techniki Rada Naukowa rozpatrzy wszystkie postulaty. Trzeba koniecznie pomóc amatorom majsterkowania, a innych zachęcić do uprawiania tego hobby. W przeciwnym razie u schyłku XX wieku dochowamy się niewąskiego grona analfabetów technicznych.

MARIA WRÓBLEWSKA

Fot. **Kajetan Adamowski**

DAWNY KONKURENT WAWELU

Kolejną widokówkę na nasz nieustający wakacyjny konkurs pod hasłem:

nadesłał LESZEK BAŁDYGA Z BLANOWIC

Zamek w Ogrodzieńcu w woj. katowickim, zbudowany w stylu gotycko-renesansowym, należał początkowo do rodu Włodków. Dopiero w 1523 r. przejmuje go krakowski żupnik i burgrabia – Jan Boner, a rozbudowuje i gromadzi w nim wspaniałe bogactwa jego syn – Seweryn, robiąc tym samym konkurencję Wawelowi. W czasach wojen szwedzkich – w XVII wieku zamek zostaje poważnie zniszczony i już właściwie nigdy nie powraca do lat minionej świetności. Kolejno jego właścicielami są: Stanisław Warszycki – kasztelan krakowski, rodzina Męcińskich i Jaklińskich. Obiekt niszczeje coraz bardziej i podupada. Ostatni właściciele opuszczają go w roku 1810, pozostawiając zamek w opłakanym stanie. Nie oszczędziły go również działania wojenne minionego okresu. Dopiero w 1969 roku rozpoczęto prace konserwatorskie, zabezpieczające ruiny przed dalszą erozją i rozpadem. W przyszłości urządzone zostanie tutaj lapidarium*, w którym będą eksponowane wykopaliska z terenu zamku.

Fot. **E. Paszkowska**

** lapidarium – muzealny zbiór kamieni, kamiennych posągów, nagrobków, fragmentów budowli itp.*

Jeśli pasjonujesz się historią, archeologią, zabytkami architektury, etnografią, zbierasz widokówki i legendy i pragniesz nawiązać kontakt z kimś o podobnych zainteresowaniach, podaj swój adres – wydrukujemy go w tym miejscu.

DWORCOWA GALERIA

Ściany poczekalni dworcowych są głównie po to, by wisiały na nich rozmaite informacje: „Nie palić", „Nie pić piwa" oraz przypomnienia, że należy mieć z góry przygotowane pieniądze przy kasie lub ważny bilet itp.

Ale jest taki dworzec w Polsce, na którym nie można się nudzić. Matki z małymi dziećmi mogą nawet odpocząć chwilę, pewne, że dzieci zajęte są bez reszty.

Siadam z boku i obserwuję podróżnych. Przechodzą najpierw obojętnie, potem zawracają, jakby sobie coś przypomnieli. Zatrzymują się i oglądają. Obcy sobie ludzie zaczynają ze sobą rozmawiać i spierać się, i wspólnie podziwiać oglądane prace. Malunki podpisane są dużym, nieudolnym jeszcze pismem, podany jest na nich wiek i adres. Oprócz Krosna i Poznania jest Berlin, Kijów, Warna i Praga. Galeria międzynarodowa? Skąd tu, na dworcu? Kto ją zorganizował?

W rogu poczekalni stoisko „Domu Książki". Pozornie takie jak na każdym dworcu. Obok stoiska stoliki. Na każdym leży kilka kartek z bloku rysunkowego, pudełko z kredkami, ołówek i gumka. Przy stoliku dzieci. Głowa przekrzywiona, wysunięty język, czerwone policzki.

– Mama! to będzie czołg! albo nie... namaluję górala, takiego jak nasz gospodarz.

– Proszę pani, złamała się kredka! – woła jakiś malec.

– Nie szkodzi, dostaniesz nową, a tę zaostrzymy – miła pani podaje dziecku nową kredkę. Uśmiecha się. Za chwilę sprzedaje zniecierpliwionemu turyście mapę i kryminał. I teraz także się uśmiecha, choć podróżny niedbale rzuca odliczone pieniądze i odchodzi, zapominając o „dziękuję".

– Spieszą się wszyscy, ot, jak na dworcu – usprawiedliwia go, widząc, że obserwuję tę scenę. Siada na moment, ale zaraz podnosi się – do poczekalni weszła matka z trojgiem dzieci. Jedno płacze, drugie marudzi, matka zniecierpliwiona krzyczy na nie. Szukają wolnego miejsca. Pani podchodzi do nich i zaprasza dzieci do swoich stoliczków.

– Chodźcie, namalujecie coś, na pewno umiecie pięknie malować. Dzieci zaskoczone, jeszcze bardziej ich matka.

– Ale jak, nie mają kredek...

– O, tam wszystko już jest przygotowane – odpowiada i bierze dzieci za ręce. Sadza przy stoliku i podsuwa kartki. Matka spogląda z zadowoleniem. Córka umie pięknie rysować, może nagrodę jakąś dostanie?

Artyści przy stolikach zmieniają się wraz z odjeżdżającymi i przyjeżdżającymi autobusami. A jest to najruchliwszy z dworców w Polsce, bo któż nie jeździ do Zakopanego.

Wykończone i podpisane rysunki nie wędrują do kosza. Starannie ułożone na półce czekają na swoje miejsce w tej unikalnej Galerii. Dopiero wieczorem jest chwila czasu na rozmowę. Próbuję dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziwnej wystawie. Zadaję pierwsze pytanie, ale pani **Maria Stawska** – bo tak nazywa się ta niezwykła kobieta – mówi chętnie o swojej pracy, pytania są właściwie zbędne. Opowiada:

– Najpierw prowadziłam tylko stoisko z książkami. Podróżni sporo kupują, bo w drodze każdemu się nudzi. Książki muszą być różne – mądre i takie trochę mniej ambitne. Najwięcej idzie książek dla dzieci, bo z nimi w drodze kłopot. A już najgorzej jak trzeba czekać na autobus. Wymyśliłam najpierw, żeby dzieci rysowały mi w takiej specjalnej księdze. Kupiłam kilka pudełek kredek, ołówki, gumki. I chętnie rysowały.

Pani Stawska wyciąga kilka grubych ksiąg, na każdej stronie kolorowy rysunek, sporo też wpisów z podziękowaniami od zaskoczonych rodziców.

– Nie było to praktyczne – mówi dalej – bo rysować mogło tylko jedno dziecko, inne czekały, nudziły się, każde chciało coś robić. Więc kupiłam bloki, więcej kredek i przyniosłam te stoliki. Teraz więcej dzieci jednocześnie może malować. Składałam te rysunki u siebie, ale żal mi było, że nikt ich nie ogląda i zaczęłam je wywieszać. Co piątek zmieniam wystawę. Obrazki muszą być podpisane, bo teraz jest to już konkurs. Jury ocenia wszystkie prace i na Dzień Dziecka za najlepsze dzieła autorzy otrzymują nagrody. Pocztą, albo jak można to i osobiście. Mamy tu artystów z całego świata – cieszy się pani Stawska. – Niemcy, Francuzi, Anglicy. W Tatry dużo ludzi przyjeżdża. A widziała pani z jaką ciekawością turyści tę wystawę oglądają? I nie nudzą się tak, czekając na autobus. Dyskutują, podziwiają. A ja się cieszę, że dzieci nie tracą czasu, że się czymś zajmą.

Początkowo pani Stawska kupowała wszystko za swoje własne pieniądze i sama przynosiła kredki i kartony, choć przecież prowadzenie kiosku z książkami na tak ruchliwym jak zakopiański dworcu nie jest sprawą łatwą. I do tego dodatkowy kłopot na głowę.

– Jaki tam kłopot – mówi pani Stawska. – Teraz mam wszystko, co potrzeba, bo Dom Kultury mi pomaga, dostajemy piękne kredki i kartki, plastycy oceniają prace.

Ale pomysł był pani Stawskiej – i jej trzeba zawdzięczać tę najosobliwszą Dworcową Galerię Malarstwa Dziecięcego może jedyną w świecie.

Dodam jeszcze, że pani Stawska do pracy dojeżdża z odległej o godzinę jazdy Zaborni. Czasem długo musi czekać na opóźniony autobus. A nazajutrz wcześnie rano znowu do pracy.

Kiedy przyjedziecie do Zakopanego, odwiedźcie panią Stawską. Z każdym chętnie porozmawia. Mimo dworcowego pośpiechu znajdźcie chwilę czasu. Przynieście bukiecik kwiatków lub serdeczne pozdrowienia. I koniecznie obejrzyjcie wystawę!

ZDZISŁAWA ZEGADŁOWNA

V Harcerskie Ogólnopolskie Zawody na Orientacje

BIEG W NIEZNANE

Najpierw nie przyjechały dwa autobusy, aby zawieźć zawodników na start, a teraz, już na punkcie startowym – zaczyna lać. Jedyny w okolicy namiot – harcerska „dziesiątka" – pęka w szwach. Nic dziwnego, skoro wchodzi do niego pięćdziesięciu zawodników, sędziowie, organizatorzy... Ubrani w przepisowe stroje turystyczne z nieprzemakalnymi skafandrami mniej się niepokoją, gorzej z samopoczuciem u „sportowców". Biec w nieznane 7 kilometrów i to w dodatku w deszczu, nie należy do przyjemności.

Po kilkunastu minutach zza chmur wyjrzało po raz ostatni tego dnia słońce. Można zaczynać zawody. Sędzia zarządza zbiórkę i zaczyna wyjaśniać szczegóły startu. Czyni to w tak skomplikowany sposób, że zdaje się, iż jedynie on rozumie, o co w tej zabawie chodzi. Na szczęście dochodzą do punktu startowego inni organizatorzy i wprowadzają logiczny porządek. Co minutę wystartuje jeden zawodnik. Najpierw będzie miał 5 minut czasu na rozwiązanie testu, przeskakując co minutę do innej kratki wyznaczonej przez sznurek rozciągnięty między drzewami, a potem już pobiegnie na trasę.

Już wcześniej wiadomo, że jeden zawodnik z trzyosobowej drużyny dopasowywać będzie nazwy miast do rzek, nad którymi leżą, drugi wyznaczać będzie azymut i mierzyć odległość między dwoma punktami na mapie, a trzeci – to samo co drugi tylko w terenie. W drużynach potworzyły się więc swego rodzaju specjalizacje – na tych od rzek, mapy i terenu.

GODZINA „0"

Ruszył pierwszy zawodnik. W ręku trzyma busolę, będzie przecież wyznaczał azymut. Sędzia daje mu jednak wraz ze szczególną mapką trasy i kartą kontrolną test o rzekach. – Co jest, granda! Miał być azymut! – protestuje.

Prawie każdy otrzymał inne pytania niż się spodziewał. – No i gdzie, u licha, przepływa ta Kaczawa? – zastanawia się ktoś głośno. – A nad czym leży Paczków?

Pięciu zawodników już rozwiązywało swoje zadania, gdy szef całej imprezy przerwał zawody. Na trzecim punkcie startowym dopiero teraz dowieziono zawodników i godzinę zero przesunięto o piętnaście minut. Bywa i tak.

Gdy wybiła godzina 0^{15} po raz drugi ogłoszono start, do pierwszej kratki wchodzi najmłodszy uczestnik zawodów – jedenastoletni Janusz Woszczuk ze Szczecina. Wspólnie z Adamem Makowskim i Violettą Dąbrowską wygrali chorągwiane zawody w grupie szkół podstawowych, organizowane na początku czerwca w Trzebiatowie. Janusz i Adam startują z jednego punktu, choć pierwszą część trasy mają różną, Violetta natomiast wystartuje z miejsca oddalonego od nich o 3 kilometry. Po zaliczeniu trzech pierwszych punktów kontrolnych i przybiciu stempelków w karcie spotkają się i dalej pokonywać będą trasę wspólnie.

Janusz rozwiązuje test, błyskawicznie zapoznaje się z mapą i biegiem wyrusza do pierwszego punktu. Tuż za startem pierwsza pułapka terenowa: mała zdradliwa rzeczka.

JEST DOM, A GO NIE MA

Na pierwszych punktach Januszowi szło dobrze. Szybko trafiał do wyznaczonych na mapie miejsc, odnajdywał oznakowane drzewa i przybijał sobie stempelki do karty. Na punkt, gdzie miał się spotkać z drużyną, przybył jednak dopiero jako drugi. Violetta pogubiła się gdzieś w lesie, trafiła nie do swojego punktu, no i trzeba będzie odrabiać straty.

Pierwszy wspólny punkt wyznaczony był przy drodze, niedaleko domu. Na mapie wyraźnie zaznaczony jest dom z lewej strony drogi, natomiast w rzeczywistości stoi po prawej. *„Czyżbyśmy szli w odwrotną stronę?"* – patrzą na siebie zdezorientowani. Idą więc do gospodyni i pytają:

– Przepraszamy, czy tu nie było kiedyś domu?

– Był, ale zburzyliśmy go piętnaście lat temu, bo był stary. Teraz mamy ten nowy. A o co chodzi?

– Nic, nic, w porządku, dziękujemy.

Wszystko niemal tak, jak w starym dowcipie: *„Matulu, idą harcerze i pewnie o drogę będą pytać. Skąd wiem? A bo mają mapę i kompas"*. No tak, tylko że w tym wypadku mapy były sprzed dwudziestu lat i co nieco w tym czasie się już zdążyło zmienić.

Następne punkty harcerze ze Szczecina znaleźli dosyć szybko, bo na trasie zrobił się już spory tłok. Coraz więcej zespołów zbliżało się do mety. Chociaż łatwo to i tu

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Fot. M. Zbikowski

REDAKCYJNA POCZTA

Mama czasem doradza...

Piszę w sprawie listu „Witki" z 89 nr „ŚM". Otóż u mnie jest zupełnie odmienna sytuacja. Moja mama pozostawia mi decyzję w doborze ciuchów. Nawet gdy wyglądam zbyt ekstrawagancko, traktuje to z pobłażaniem. Ja nie jestem wyjątkiem, prawie wszystkie moje koleżanki nie mają tego typu trudności, czasami nas szał ogarnia i idziemy w kilka ulicą (wiejską zresztą) w „bermudach" przytrzymywanych elastycznymi szelkami w króciutkich skarpetkach w pasy i sandałach. Mama też często mi doradza w jakim ubiorze będę wyglądała najkorzystniej (jestem raczej niska). Myślę, że „Witka" powinna delikatnie a skutecznie wytłumaczyć mamie, że ona nie ma prawa całkowicie wybierać strojów córce (co rodzice niestety rzadko rozumieją). Życzę powodzenia!

„Alfa"

Czy znajdę przyjaciela?

Od urodzenia jestem kaleką – (zwichnięcie stawu biodrowego). Chyba z tego właśnie powodu nie mogę zaprzyjaźnić się z żadnym kolegą. Pragnęłabym nawiązać korespondencję z chłopakiem, który nie zważałby na moją ułomność i odpisywałby na moje listy.

Krysia Koplin
15-405 Białystok Młynowa 82a m 2

Dziękuję Ci Redakcjo!

Nie przypuszczałam wcale, że ktoś zostanie tak głęboko zaangażowany w moje kłopoty. Jeśli liczyłam na coś, to tylko na interwencję listowną. Chciałabym bardzo Wam podziękować, a w szczególności tej Pani, która przyjechała aż z Warszawy do mojej miejscowości i była także (jak powiadomiła mnie moja mama) w Słupsku i w Lęborku. Interwencja przyniosła rezultaty. Jestem przyjęta do Liceum Ekonomicznego w Lęborku. Nie wiem w jaki sposób mogę się Wam za to odwdzięczyć, ale bardzo Wam za to wszystko co dla mnie zrobiliście dziękuję.

Krystyna Kiewra z Domaradza

Skąd te kłopoty?

W 79 nr „ŚM" przeczytałem artykuł pt. „3...2...1...0... START". Zapytujecie co się stało, że tak mało jest ludzi interesujących się tym sportem. Wydaje mi się, że mogę częściowo odpowiedzieć na to pytanie z własnego doświadczenia. Sam interesuję się modelarstwem rakietowym i lotniczym lecz nie należę do żadnego klubu. Z tego powodu mam bardzo duże trudności z otrzymaniem materiałów potrzebnych do budowy modeli, a przede wszystkim z odpowiednim paliwem, różnej grubości sklejkami i listwami. Może droga Redakcjo wyjaśnisz dlaczego są z tym takie trudności i doradzisz mi, gdzie można nabyć takie materiały.

„MAFIOSO"

OD REDAKCJI: Część wymienionych materiałów kupić można w Składnicach Harcerskich. Niektóre z nich są rzeczywiście nie do nabycia. Nasza redakcja w celu wyjaśnienia zaistniałej sytuacji przeprowadza aktualnie szereg rozmów w tej sprawie. Już wkrótce przeczytacie artykuł wyjaśniający ten problem.

GWIAZDOZBIÓR

OLEG ORŁOW i LEGENDA O GAGARINIE

Na ekrany kin w Związku Radzieckim wszedł film dla dzieci i młodzieży pt. „Tak zaczyna się legenda". W głównej roli występuje uczeń szkoły podstawowej, Oleg Orłow. Na chłopcu spoczywa ogromna odpowiedzialność, gra bowiem bohatera naszych czasów – pierwszego kosmonautę – Jurija Gagarina. Ten film nie dotarł jeszcze do polskich kin, ale z pewnością i u nas zainteresuje podobnie jak w ZSRR nie tylko młodych widzów, ale i dorosłych. Ci dobrze pamiętają ten przełomowy moment w historii ludzkości, kiedy Jurij Gagarin, 12 kwietnia 1961 roku, na pokładzie statku kosmicznego „Wostok", jako pierwszy człowiek wszedł na orbitę okołoziemską. Choć było to zaledwie 16 lat temu, Gagarin jest dziś postacią legendarną. Jego nazwisko znalazło się w podręcznikach historii i astronomii.

W „Sowietskim Ekranie" – radzieckim tygodniku filmowym, natrafiłam na interesujący artykuł, którego autor Jarosław Gołowanow, choć nie jest krytykiem filmowym, omówił ten film z ciekawego punktu widzenia: rozważa w nim problem przekazywania w sztuce obrazu bohatera czasów współczesnych. Niełatwego zadania pokazania prawdy o najsłynniejszym człowieku wieku XX podjęli się: pisarz – autor scenariusza Jurij Nagibin, reżyser Borys Grigoriew i młodziutki odtwórca głównej roli Oleg Orłow. Powstał film „Tak zaczyna się legenda", pisze o nim Gołowanow: „Jurij Gagarin zdobył wszechświatową sławę dosłownie w mgnieniu oka, dokładniej mówiąc z szybkością ruchu „Wostoka" po orbicie. Zdarzyło mi się kiedyś pracować nad dokumentalnym filmem o pierwszym kosmonaucie i muszę powiedzieć, że taśmy dokumentalne o nim były dłuższe niż orbita jego kosmicznego statku. Te zwoje taśm odkrywały ludziom nową rzeczywistość – nie było więc wówczas potrzeby artystycznego przetwarzania tych obrazów. Co innego teraz, kiedy nie ma Gagarina wśród nas. Niedawno jeszcze pracował z nami, jego uśmiech, jego twarz zna cały świat. Kiedy go zabrakło, wszystkich z jego otoczenia ogarnęła fala wspomnień, niestety czasem nieważnych, zniekształconych. Nagle okazało się, że w istocie zostało po nim nie tak wiele zdjęć, a ogromna liczba taśm dokumentalnych i ich kopii jest trudno dostępna. Kiedyś potrzebowałem dużego na cały ekran zbliżenia jego twarzy – takiego portretu filmowego nie było".

Śmierć Gagarina nie zmniejszyła jednak zainteresowania pierwszym kosmonautą. Zdarza się, szczególnie w sztuce, że kiedy twórca dotyka zdarzeń rzeczywistych ludzi współczesnych często musi opierać się na domysłach, posługiwać się niedomówieniami, symbolami i pojawia się granica tego co „można", a czego „nie powinno" się pokazać. Uniknął tego w filmie „Tak zaczyna się legenda" – jego reżyser Borys Grigoriew.

„Kilka lat temu pisarz Jurij Nagibin wyznał mi, że chce napisać scenariusz artystycznego filmu o Gagarinie. Byłem zaskoczony. – Jak to o Gagarinie? Gdzież znajdziesz takiego aktora, który by zagrał go tak, żeby widz powiedział: „tak, to on, Gagarin".

Wkrótce zapomniałem o tej rozmowie, ale Nagibin postawił na swoim. Napisał scenariusz, aktor też się znalazł. Został nim Oleg Orłow – uczeń. Trudno w to uwierzyć, ale rzeczywiście jest idealnym Gagarinem. Zawodowi krytycy z pewnością powiedzą, że „Tak zaczyna się legenda" jest filmem średnim. Nie będę polemizował. Co innego skłoniło mnie do chwycenia za pióro. Chcę po prostu podziękować Jurijowi Nagibinowi i Borysowi Grigoriewowi za to czego dokonali. Film artystyczny o Gagarinie okazał się możliwy do zrealizowania."

A oto jak autor tej wypowiedzi opisuje pierwsze sceny filmu:

„Obok starego młyna w głębokim śniegu suną powoli sanie. Aleksiej Gagarin wiezie żonę z nowo narodzonym synem do domu. Na ich spotkanie wybiegają starsze dzieci.

„Przywiozłam wam Jurkę" z uśmiechem mówi matka, a rodzeństwo z zachwytem ogląda malusieńkiego, mrużącego oczka braciszka. Tak na zasypanej śniegiem smoleńskiej ziemi zaczyna się legenda.

Te początkowe kadry idące jeszcze w trakcie napisów nadają ton i zwyczajny wymiar całej opowieści filmowej. Oleg Orłow nie gra genialnego dziecka, bo Jurij Gagarin geniuszem nie był. Myślę, że grał sam siebie, ponieważ chłopcy z 1977 roku są bardzo podobni do tych z 1941. Gdyby twórcy filmu dodali mu chociaż jedną cechę wyjątkową – przekreślałoby to sens filmu. Byłoby to kłamstwem wobec widzów, przede wszystkim wobec chłopców i dziewcząt, którzy dorastają teraz, dla których Gagarin jest symbolem, pomnikiem. Mogliby powiedzieć: „Ach! Więc taki był! Trudno nam się z nim porównywać..."

W dzieciństwie Gagarina nie było niczego niezwykłego. Wieś jak wieś. Dom jak dom. Żył w warunkach takich samych jak tysiące innych rosyjskich, ukraińskich i białoruskich chłopców. Ta prawda działa z ogromną przyciągającą siłą. Z nim każdy może się porównywać. O tym myślałem, kiedy oglądałem film „Tak zaczyna się legenda". Właśnie tak zaczęła się epoka kosmicznych lotów. Im bardziej wrasta w nasze życie kosmonautyka – tym pełniejsze znajdzie odbicie w sztuce. I oby tak jak w tym filmie – bohaterowie naszych czasów przyszłości pokazywani byli nie jako pomniki, ale jako żywi ludzie."

Film „Tak zaczyna się legenda" wejdzie na nasze ekrany najprawdopodobniej już w czasie trwania Dni Filmu Radzieckiego.

Oprac. EWA BIELSKA

DOM MODY świata młodych

A może by na... lwy?!

Zawarte w tytule pytanie nieodparcie nasuwa się na myśl, gdy człowiek przegląda w żurnalu stronice poświęcone tzw. stylowi „safari". Nie jest to zresztą pytanie takie zupełnie bezsensowne. Cały ten styl oparty jest na elementach strojów tropikalnych myśliwych – właśnie takich, co to w Afryce na lwy polowali. Pamiętacie „W pustyni i w puszczy"? Staś Tarkowski odziany był w tym filmie w stroik podobny do prezentowanego na jednym z zamieszczonych obok zdjęć.

Był to oczywiście stroik podobny, a nie identyczny. Styl „safari" – jak każdy zresztą styl w modzie – nie jest wierną kopią tamtego, ale czymś jedynie na autentycznie w tropiku noszonych rzeczach osnutym. Dzięki temu zresztą panuje dość duża dowolność w tym, co mianem stylu „safari" się aktualnie określa.

Przede wszystkim są to ciuchy o charakterze sportowym, czyli o fasonach prostych, ozdobionych jedynie takimi spartańskimi elementami jak duża ilość pagonów, klapek, naramienników, nakładanych kieszeni. Jak spódnica, to plisowana, albo mocno stebnowana, jak spodnie czy szorty, to z mankietem. Materiały użyte na ciuchy w stylu „safari" też mają taki surowy charakter – są raczej grubsze, sztywne, najwięcej jest wszelkiego rodzaju elanobawełny, elanolnu, popeliny, drelichu... Cechą charakterystyczną jest również kolorystyka tych materiałów. W większości są one gładkie i utrzymane w tonacji beżowo-piaskowej. Dla ubarwienia tego pustynnego koloru „dopuszczono" do udziału również przytłumione biele, brązy, zgniłe zielenie. Od czasu do czasu (i to głównie w sytuacjach sukienkowo-spódnicowych, a nie spodniowych) pojawia się w niewielkiej ilości jakiś ostry kolor, który ma za zadanie całość ożywić – np. czerwony.

Charakter stylu pokazują zresztą zdjęcia, którym jak się człowiek dokładniej przyjrzy, to... dochodzi do wniosku, że nic na nich nowego nie ma – że wszystko już było, a po szafach się różne takie „safari-podobne" ciuszki pałętają. I bardzo dobrze! Można się dzięki temu wystrzałowo i supermodnie odziać bez jakichś specjalnych dookoła tego zabiegów.

RIUSZKA

TURNIEJ WARCABOWY

O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

prowadzi Romuald Frey

Zadanie 15. Białe zaczynają i w trzech posunięciach wygrywają. Za prawidłowe rozwiązanie – 1 punkt.

Zadanie 16. Białe zaczynają i w szóstym posunięciu wygrywają. Za prawidłowe rozwiązanie – 2 punkty.

Rozwiązania należy przesyłać na adres redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród uczestników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, niezależnie od przyznanych punktów rozlosujemy dwie nagrody książkowe.

15

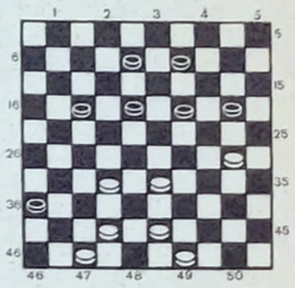

16

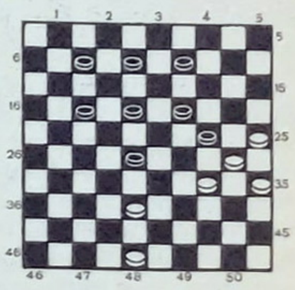

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

BIEG W NIEZNANE

nie było. Punkty kontrolne były usytuowane dosyć blisko siebie, np. co 50 m. A na mapie to tylko przecież 2 mm. Za minutę spóźnienia otrzymuje się jeden punkt karny, a za zaliczenie złego punktu, nie tego, który odpowiada danej trasie – aż 30 pkt. Lepiej więc dobrze poszukać.

PIĆ, PIĆ!

Na metę przybiegli porządnie zmordowani, spoceni. Niby była to trasa turystyczna i na przebycie jednego kilometra przeznaczono aż 17 minut, jednak w praktyce kto nie biegł ten przekroczył limit czasu. Zespół szczeciński miał 10 minut spóźnienia. Nie najgorzej.

* * *

Przyjechali do stanicy harcerskiej obok Huty Katowice z różnych stron kraju. Było ich 272 dziewcząt i chłopców i reprezentowali 40 województw w V Harcerskich Ogólnopolskich Zawodach na Orientacje. Jedni przybyli tu wprost z harcerskich obozów, jak harcerze ze Szczecina, drudzy – ze specjalnych obozów kondycyjnych, np. harcerze z Chojnic. Przez cały tydzień poprzedzający zawody trenowali tam biegi, ćwiczyli z mapą, wyrabiali kondycję. Dla jednych były to pierwsze poważne zawody w życiu, inni mieli już ich za sobą kilkanaście. Różny reprezentowali więc poziom, choć łączyło ich jedno – wszyscy chcieli te harcerskie mistrzostwa Polski wygrać.

Po pierwszym dniu zawodów, które wygrała drużyna ze szkół podstawowych Koszalina, a w juniorach – drużyna z Lublina, następowała druga, sportowa konkurencja mistrzostw. Osobno rywalizowali tu zawodnicy ze szkół podstawowych i średnich, podzieleni na kategorie dziewcząt i chłopców. **Wśród chłopców najlepszym okazał się Sławomir Jelondek z Warszawy (szk. podst.) i Marek Myrta z Katowic (szk. ponadpodst.). Konkurencję dziewcząt wygrała Małgorzata Galińska ze Skierniewic (szk. podst.) i Małgorzata Marzec ze Szczecina (szk. ponadpodst.). W klasyfikacji województw pierwsze miejsce zajęły Katowice 52,5 pkt., przed Wałbrzychem 50,5 pkt i Płockiem 50,0 pkt.**

W sumie była to bardzo udana impreza. Mimo początkowych kłopotów organizacyjnych – nawalili kooperanci od autobusów – wszystko szło już do końca sprawnie.

MARIAN TWARÓG
Fot. **M. Żbikowski**

Chciałbym przeprosić Was w imieniu kolegi redakcyjnego, który przerysowując rysunek do materiału Grzegorza Wrucka pt. „Galaktyki radiowe – największe obiekty wszechświata" (Nr 92 „ŚM") popełnił fatalny błąd. Otóż w drugim rysunku, który przedstawia porównawczo wielkości galaktyk radiowych w stosunku do naszej Galaktyki, na samym dole powinien być napis: nasza Galaktyka. Jeszcze raz przepraszamy za to niedopatrzenie. Natomiast, dziś zapraszam do lektury materiału Hanny Fronczak o antyświatach i antymaterii.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

ANTYMATERIA, ANTYŚWIATY

Pragnę zabrać głos na temat nie poruszony jeszcze w Tomiku, a mianowicie na temat antyświatów.

O antymaterii można przeczytać w wielu opowiadaniach i powieściach fantastycznych. Bowiem antymateria to jeden z żelaznych tematów fantastyki naukowej. Ciekawe więc byłoby bliżej się przyjrzeć antymaterii. Czy jest to tylko wytwór wyobraźni pisarzy? Czy może kiedyś naprawdę wyruszymy na poszukiwanie przedstawicieli antyświatów? Zastanówmy się więc, co o antymaterii może nam powiedzieć współczesna fizyka.

Po raz pierwszy możliwość istnienia antycząstek wniósł do nauki Anglik P. Dirac. Doszedł on do wniosku, że przestrzeń, która nas otacza – tzn. wszechświat – jest wypełniona elektronami – najmniejszymi znanymi nam cząstkami, posiadającymi ujemny ładunek elektryczny. Jednakże w tym „morzu elektronów" mogłyby być swoistego rodzaju „dziury". „Dziury" te dla obserwatora zewnętrznego miałyby taki sam charakter jak elektrony, tylko ich ładunek byłby dodatni. Co więcej – gdyby na taką „dziurę" natrafił elektron – to i elektron, i „dziura" zniknęłyby pozostawiając jedynie po sobie pewną ilość promieniowania. Promieniowanie to nosi w fizyce nazwę promieni gamma i ma taki sam charakter jak światło, tyle że jest niewidzialne. Ilość energii, która wyzwoliła się podczas zderzenia elektronu i pozytonu (bo taką nazwę otrzymała owa „dziura" w „morzu elektronów") jest ściśle określona. Zgodnie bowiem z teorią względności A. Einsteina każda masa jest równoważna pewnej ilości energii i w określonych warunkach masę na energię można przetworzyć. Pierwszym dowodem tej teorii była bomba atomowa zrzucona na japońskie miasto Hiroszimę. W bombie tej mała masa uranu (10 kg) wyzwoliła energię zdolną zburzyć całe miasto.

A może i w tym pięknym rejonie nieba, w gwiazdozbiorze Oriona, znajdują się również antyświaty?

Nieco później okazało się, że aby wyobrazić sobie pozyton, nie trzeba wyobrażać sobie „morza elektronów", bo okazało się, że pozytony należy traktować jako „dziury" w zupełnie pustej przestrzeni. Okazało się bowiem, że mogą istnieć dwie niejako zwierciadlane przestrzenie. Jeżeli więc w naszej przestrzeni pojawił się pozyton, to w tej „drugiej" przestrzeni – wypełnionej pozytonami – „morzu pozytonów" – elektron. Tak więc dochodzimy do współczesnego poglądu na istnienie antycząstek – wszystkie obecnie poznane elementarne cząstki, z których zbudowana jest materia mają również swoje „antycząstki". Kiedy dochodzi do spotkania cząstki z antycząstką obie one po prostu znikają wyzwalając przy tym energię równą sumie mas i energii jaką posiadały przed spotkaniem. Energia ta wydziela się pod postacią promieniowania gamma. Takie zjawisko – spotkanie cząstki z antycząstką – nazywamy anihilacją. W fizyce znamy też zjawisko odwrotne: narodzenie pary – cząstka-antycząstka z promieniowania.

Początkowo hipoteza o istnieniu pozytonu przyjęta została przez fizyków niechętnie. Ów dziwny twór bowiem prowadził w mniemaniu uczonych do postawienia na głowie wszystkich znanych wtedy (ok. roku 1930) wyobrażeń o budowie materii i wszechświata. Bomba pękła dopiero wtedy gdy w strumieniu cząstek docierających z kosmosu do Ziemi rzeczywiście odkryto pierwszy pozyton. Jak to zwykle bywa, rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania innych cząstek będących swoistymi „antypartnerami" znanych już nam elementarnych składników atomu – protonu, neutronów, czy dziwnej cząstki nie posiadającej wcale masy – neutrina. I tych „antypartnerów" znaleziono. Okazało się, że wszystkie cząstki, które znamy zawsze mają swe antycząstki, zdolne do natychmiastowej anihilacji...

Niestety nie wszystkie tajemnice antycząstek udało się ludziom wykryć. Ba, nie wiemy nawet na czym polega owo „anty" antycząstek. Bowiem z pewnością nie tylko na odwrotnym ładunku elektrycznym, bo przecież neutron – cząstka, która w ogóle nie ma ładunku elektrycznego, posiada swego antypartnera – antyneutron.

Wytężone badania fizyków na całym świecie zmierzają do zgłębienia sekretów antymaterii. Doprowadziły nawet do zbudowania pierwszego na świecie „antyatomu". Był to antyatom wodoru, zwany krócej antywodorem. W jądrze tego antyatomu znajdował się jeden antyproton, a po kołowej orbicie obiegał go pozyton. W 1937 roku fizycy odnieśli jeszcze większy sukces. Skonstruowali oni antyatom helu. Antyhel miał w swym jądrze dwa antyneutrony i dwa antyprotony, a w koło obiegały go dwa pozytony.

Naturalnie, na temat antymaterii zaczęły się po prostu mnożyć różne fantastyczne powieści i opowiadania, np. starcia rakiet z antyrakietami, lub wojny światów i antyświatów. A wraz z naukowymi wizjami fantastów zrodziły się fantastyczne wizje naukowców...

Jako pierwszy wystąpił ze swą hipotezą szwedzki uczony, Hannes Alfven. Wraz ze swym kolegą, Oskarem Kleynem, wysuwał on hipotezę, że w kosmosie powinny istnieć ciała niebieskie, całkowicie zbudowane z antymaterii!!! Nie możemy mieć nawet pewności – powiedział Alfven – czy jakaś najbliższa nam gwiazda np. WOLF 359 nie jest zbudowana z antymaterii. Obaj ci uczeni słusznie zauważyli, że nie mogą tego sprawdzić, bo sprawdzić moglibyśmy tylko wywołaniem zjawiska anihilacji, a taki sposób sprawdzenia byłby dla ludzi bardzo niebezpieczny...

Na pomoc Alfvenowi i Kleynowi przyszli i inni uczeni. Jak grzyby po deszczu zaczęły się rodzić inne, nie mniej sensacyjne, choć równie ważne hipotezy naukowe. Tak na przykład niektórzy astronomowie próbują wytłumaczyć przy pomocy zjawisk anihilacji materii i antymaterii niektóre zagadkowe procesy zachodzące w kosmosie. Zagadkę do dziś nie wyjaśnioną stanowią choćby gigantyczne obiekty niebieskie – kwazary. Stanowią one źródła energii o niespotykanej wprost jasności! Ilość energii, jaką wysyłają one pod postacią promieniowania świetlnego i niewidzialnego promieniowania elektromagnetycznego nie może być wytłumaczona inaczej, jak anihilacją materii i antymaterii na iście kosmiczną skalę!!!

A co na to astronomowie, obserwujący przecież całymi nocami niebo? Czy udało się już doświadczalnie zaobserwować jakieś zjawiska, które przemawiają za tym, że gdzieś w kosmosie istnieje antymateria?

W istocie – ostatnie doniesienia naukowe brzmią sensacyjnie. Okazało się bowiem, że z kosmosu ciągle nadchodzi promieniowanie gamma, które jest przecież wynikiem anihilacji. Ostatnie zaś wyniki wykazały, że w strumieniu promieniowania kosmicznego występują w dużej różnorodności antycząstki, w których najwięcej jest antyprotonów. Ponieważ antyproton jest jądrem antywodoru, to dochodzimy do bardzo interesującego wniosku. Wodór jest pierwiastkiem najbardziej we wszechświecie rozpowszechnionym. Skoro w promieniach kosmicznych znajdujemy również jądra antywodoru, to być może są one gośćmi z antywszechświata, jak również antywodór byłby dominującym antypierwiastkiem?

A może po prostu wszystko to już są dowody na to, że gdzieś w antykosmosie oczekują nas zwierciadlani antyprzedstawiciele antycywilizacji. I, stroskani patrząc w swoje antyteleskopy, toczą antydyskusje i piszą antyartykuły: „Gdzie leżą antyantyświaty".

(Opracowałam to na podstawie artykułu „Gdzie leżą antyświaty" Krzysztofa Malinowskiego, zamieszczonego w Alfie 2)

Hanna Fronczak
ul. Gdańska 10a m 33
06-230 Różan

Po kronice jeszcze dodatek, po dodatku wreszcie rekin. Zabielił się w ostrych promieniach słońca piasek plaży i wzdęły się seledynowe grzywacze fal. Ci niemądrzy plażowicze jeszcze nic nie widzą, nie domyślają się nawet, co ukrywa pod czapą piany letnie morze, ale widz już wie, już mignął mu obły kształt wielkiego drapieżcy z trójkątną płetwą. Czy ta dziewczyna nie mogłaby zawrócić do brzegu? Po co płynie coraz dalej, no po co? To jest nie do zniesienia, niech by rekin już runął na zdobycz, nie można wytrzymać tego wyczekiwania, kiedy wreszcie stanie się to, co stać się musi. Na wszelki wypadek Marcin zamyka oczy, nikt tego nie będzie widział, w kinie na szczęście jest ciemno.

Gdzieś z dalszych rzędów samotny krzyk „Ojej!", już można otworzyć oczy, bo stało się.

– I jak? – szepcze Julek, głos mu trochę drży, ale tylko odrobinę.

– Fajnie.

– Wnerwiłem się.

– A ja nie. – Przecież nie przyzna się Julkowi, że zamknął oczy. – Kaszka z mleczkiem.

– No, jak na kaszkę, bardzo ostra kaszka.

Na ekranie rekin konsumuje kogo chce i jak chce, na beztroskich plażowiczów pada groza, miejscowi notable tchórzliwie wykręcają się od działania – osada żyje z przyjezdnych kto wybierze się na plażę, nad którą panuje ogromny rekin? Wreszcie znajduje się samotny bohater, który postanawia podjąć nierówną walkę z monstrum o zębach ostrych jak noże.

Ufff, teraz tylko wczepić palce mocno w poręcz fotela, musi się im udać, po prostu musi, nie może być inaczej.

– Zrobiłbyś to?

– Pewnie, że tak.

– A ja nie wiem. Bałbym się.

Mała łódeczka na wielkiej wodzie, pod wodą potworny pysk, szybkie, zwinne cielsko, to nie ludzie w łódce polują na rekina, to rekin poluje na ludzi w łódce. Jest precyzyjny, mądry, ostrożny, konsekwentny, podczas gdy ludzie działają na ślepo, najlepiej zamknąć powieki i nie otwierać, póki sytuacja jakoś się nie wyklaruje.

Już jest po wszystkim, nad rzędami foteli wzbija się nowa fala kaszlu, która przycichła podczas dramatycznych zmagań z morskim ludojadem.

– Hemingway się kłania – stawiają kołnierze i wychodzą na jęki wiatru i skośnie zacinający lodowaty deszcz. – Hamingway dla ubogich, wielka ryba dla niezamożnych intelektualnie.

Wiatr wtłacza słowa do gardła, przewiewa od stóp do głów, mrozi palce, uszy, policzki. Trudno jest w tej sytuacji powiedzieć coś mniej więcej do sensu, więc na tym urywa się wymiana wrażeń.

Tupot korków za plecami, ktoś ich dogania, mija, przystaje.

– Cześć, Marcin – to taka jedna z klasy, Monika. Głowa górą, nogi dołem, tyle można o niej powiedzieć, no, może jeszcze to, że siedzi przy trzecim stoliku w środkowym rzędzie i do torby ma przyklejoną nalepkę z kaczorem Donaldem. Pod kaczorem ni w pięć, ni w sześć rozkracza się napis: „Make love, no war". Intencja napisu w języku obcym jest niewątpliwie godna pochwały, tylko pozostająca w dość luźnym związku przyczynowym z płaskonosym bohaterem disneyowskich kreskówek.

– Byłeś w kinie? – krztusi wyżej wzmiankowana Monika przez wiatr i deszcz. Słyszalność z powodów pogodowych jest raczej słaba. – Mogę iść z wami?

– Możesz iść z nami – przyzwala Julek i zaraz się żegna, jest najwidoczniej zdania, że z pojawieniem się osoby trzeciej automatycznie wygasa kuratela nad Marcinem. Na odchodnym dorzuca. – Maszeruj do domu. A jak Michał wróci, niech się u mnie pojawi. Cześć.

Odprowadzanie Moniki w podmuchach wiatru i mroźnych biczach deszczu nie jest ulubionym zajęciem Marcina, zresztą, nawet gdyby był to rozdygotany słowiczym trelem i napachniony bzem maj, także akurat to towarzystwo nie wywołałoby w nim nadmiernego entuzjazmu. Ale ostatecznie mieszkają na tym samym osiedlu, jeżeli ona uważa, że przyjemniej jest dyrdać w pozycji zgarbionej, z głową wbitą między podniesione ramona, z rękami zaciśniętymi w kieszeniach w kułaki w jego towarzystwie niż samotnie, niech jej będzie.

Cdn

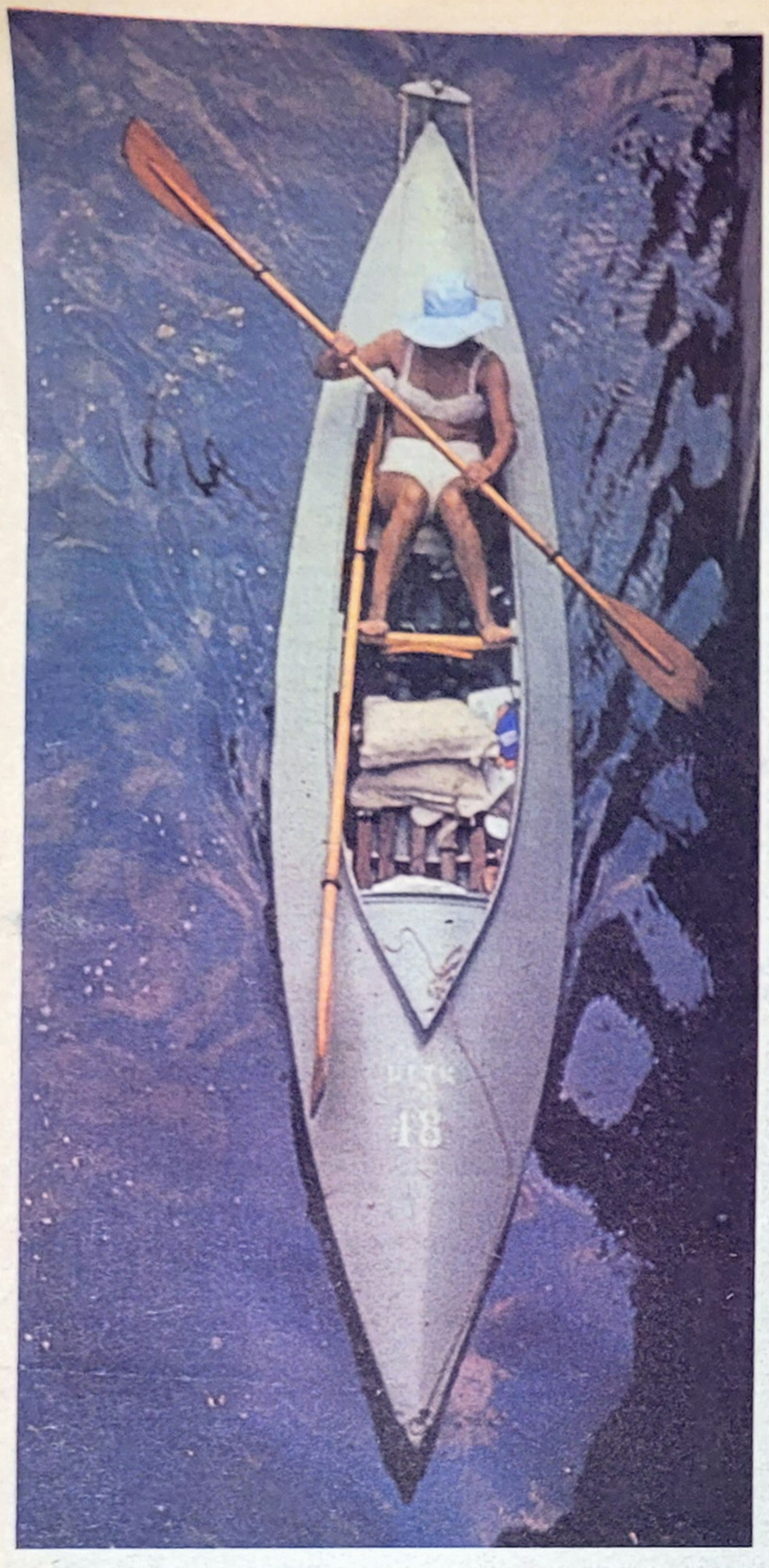

MELDUNEK ZE SPŁYWU NR 2

CO TO BĘDZIE, ATAKUJĄ NAS ŁABĘDZIE!

15 czerwca. Swoboda. Dziś wypływamy z portu w Augustowie na trasę długości około 170 km. Na niebie słońce i burzowe chmury. A więc nieprzemakalne stroje trzeba mieć pod ręką. Dreszczyk emocji ogarnia każdego, kiedy wsiadamy do kajaków. Jaka pogoda nas czeka? Czy kajak nie będzie przeciekał? Czy wytrzymamy kondycyjnie kilkunastokilometrowe odcinki trasy? Może owinąć ręce bandażami, aby zapobiec robieniu się pęcherzy?

Biegnę przez las i staję na moście, pod którym kajaki będą przepływać z jeziora Necko na Jezioro Białe. Udaje mi się zrobić genialne zdjęcie mojego kajaka wraz z załogą, które widzicie obok. Ale przez to moje „zdjęciomachanie" zostajemy w tyle za spływem. Płyniemy pod wiatr i lekka fala rozpryskuje się o dziób kajaka. Z dala na krańcu jeziora zostają ostatnie domy Augustowa. Mijamy zalesioną wyspę...

Wtem z tyłu, słyszę nadlatujący nisko odrzutowiec. Furkot, szum, łopot! Oglądam się – prosto na nas bijąc skrzydłami o wodę leci olbrzymi łabędź. Skręcam kajak w prawo na burt, aby nie być zaatakowanym z tyłu. Wystawiam wiosło, a załoga rzuca w górę kanapki. Łabędź z hukiem woduje obok kajaka robiąc nam potężny prysznic. Na szczęście wolał jednak chleb niż nasze nędzne, białe, miejskie ciała. W połowie drogi, na cyplu, odpoczynek. Inauguracyjne dwusekundowe przemówienie przewodnika, przejście ze wszystkimi na per „ty" i chrzest tych, którzy pierwszy raz są na spływie. Chrzest polega na wyjęciu monety z półmetrowej głębi. Przepływamy przez śluzę, jezioro Studzieniczne i zmęczeni docieramy do stanicy Swoboda, gdzie czeka nas smakowity obiad. Po obiedzie „nie ma mocnych" – wszyscy padają „trupem" na kojki, snem zasłużonego wodniaka.

Następny meldunek w drodze.

Wasz PAPCIO CHMIEL

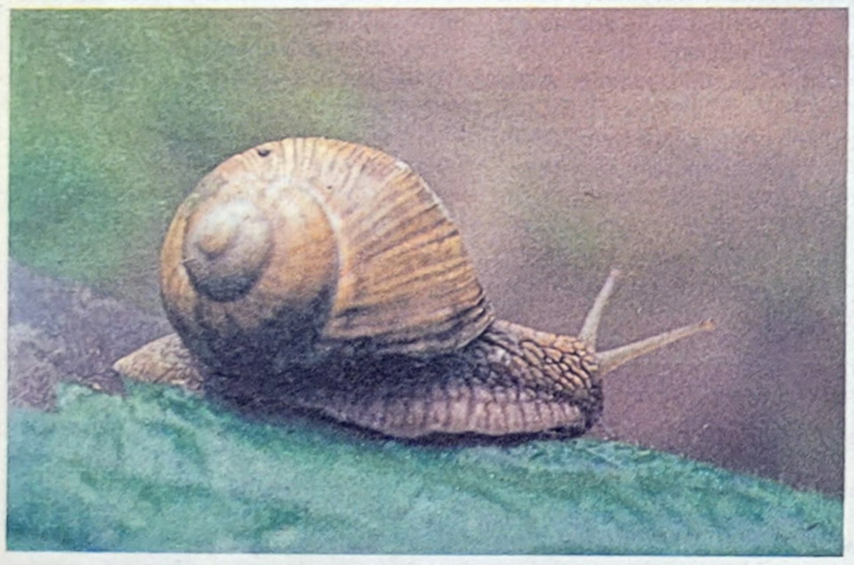

TEN ŚLIMAK UKRYŁ SIĘ W KAJAKU I NA GAPĘ PRZEPŁYNĄŁ Z NAMI Z AUGUSTOWA DO SWOBODY

NA NASZ WIDOK PRZYLECIAŁY DO STANICY SWOBODA 22 ŁABĘDZIE. NA ZDJĘCIU NASI NAJMŁODSI UCZESTNICY SPŁYWU ZAWIERAJĄ Z NIMI ZNAJOMOŚĆ

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 54 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35048.

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 4818/G F-38

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

– Kuzyn mojej babki, Ewaryst Skałomiejczyński, opuścił kraj i nie dał znaku życia przez trzydzieści cztery lata. Tłumaczył się później, że bawił wśród Papuasów, gdzie sieć urzędów pocztowych była nader skąpa, ale moim zdaniem, były to zwykłe wykręty. Złej tanecznicy zawadzi obrębek u spódnicy. – Wszystkie przypowieści babci były zawsze doskonale zakotwiczone w rzeczywistości z wyszczególnieniem nazwisk i imion bohaterów, stopnia pokrewieństwa lub zażyłości z narratorką, a także z określeniem mniej lub bardziej precyzyjnym czasu, kiedy się rozgrywały. – Wreszcie mógł przecież umieścić list w butelce i wrzucić do oceanu, jak to się praktykuje w takich wypadkach.

– Michał nie ma potrzeby wrzucać żadnych butelek do oceanu – ucięła kwaśno mama. – A ty dokąd się wybierasz?

– Idę z Julkiem do kina.

– Lekcje odrobione?

– Odrobione – skłamał Marcin bez mrugnięcia powieką. Oświadczył to z taką pewnością, że sam uwierzył, że z należytą pilnością przyłożył się do prac domowych.

– A na co to, jeśli łaska?

– Mam bilety na „Szczęki", proszę pani.

– Aha, na tego rekina. Idź, tylko masz wracać zaraz po seansie. Julek, pilnuj, żeby Marcin zaraz wrócił.

Na ulicy przemykali się skurczeni we czworo przechodnie. Było dopiero kilka dni po połowie października, a już panowała aura dająca dokładne wyobrażenie o klimacie arktycznym, wiatr z ponurym przygwizdem targał gałęzie drzew, przewody rozpięte nad torowiskiem, ze szczękiem zwalał klapy ze śmietnikowych kubłów i żonglował w powietrzu płachtami podartych gazet wyglądającymi jak dziwaczne, obskubane ptaszyska.

– Psia pogoda.

– Ziąb.

– Chyba trzeba będzie włożyć jutro coś na głowę.

– E, jutro może być ciepło.

– Może, ale nie musi.

Za to w kinie było niewątpliwie ciepło, nawet bardzo ciepło i duszno, pachniało czymś niejasnym, co przypominało nie wiadomo czemu woń dworcowych sanitariatów, a jednocześnie wapor starych zakurzonych strychów.

– Jak ci leci? – Po rozlokowaniu się na miejscu Julek okazał pewne zainteresowanie młodszym bratem przyjaciela. – Trudniej w ogólniaku, niż w podstawówce?

– Trudniej, ale obleci.

– Fajną masz klasę?

– Bo ja wiem? Taką sobie.

– Na początku tak zawsze, wszyscy wydają się sztywni. Zobaczysz, że się dogadasz.

– Połowę znam z podstawówki. Po co mam się dogadywać?

– No, chyba że tak.

Ogromnie figlarny lektor z lekkością motyla komentował kronikę, nie wiadomo dlaczego mówił bardzo dużo o urokach lata i słonecznym wypoczynku, jego słowom towarzyszyło sugestywne wycie wiatru za ścianą i gromadne kichanie, a także kaszel zgromadzonych widzów.

Dokończenie na str. 7

4 Ewa Nowacka

BURZA nad ZLEWOZMYWAKIEM